



RAY BRADBURY

Mały morderca

www.bookswarez.prv.pl

Nie potrafiła powiedzieć, kiedy dokładnie przyszło jej na myśl, że jest zabijana. Były jakieś subtelne oznaki, jakieś podejrzenia ostatnich miesięcy, jakieś sprawy głębokie niby przypływ morza. Było tak, jakby patrzyła na absolutnie spokojny pas błękitnych wód, jakby chciała się w nich zanurzyć i dostrzegała, właśnie w chwili gdy fala unosiła jej ciało, że tuż pod powierzchnią żyją potwory, stwory niewidoczne, opasłe, o chwytnych mackach i ostrych płetwach, groźne, przed którymi nie ma ucieczki.

Pokój falował wokół niej w oparach hysterii. Widziała zawieszone nad sobą ostre narzędzia. Słyszała głosy ludzi w sterylnych białych maskach.. Nazwisko, pomyślała. Jak ja się nazywam?

Alice Leiber, nadpłynęła myśl. Żona Davida Leibera. Lecz nie przyniosło jej to spokoju. Była samotna wśród tych szepczących cicho białych fartuchów, samotna ze swym bólem, mdłościami i strachem przed śmiercią.

Jestem mordowana na ich oczach. Ci lekarze, te pielęgniarki nie zdają sobie sprawy. David nie wie. Nikt nie wie oprócz mnie i... i zabójcy, małego mordercy.

Umieram i nie mogę im powiedzieć jak. Śmialiby się i mówili że mającę. Zobaczą mordercę, będą go tulić, polubią i nie pomyślą, że jest odpowiedzialny za moją śmierć. Oto stoję przed Bogiem i człowiekiem, umierająca - i nie ma nikogo, kto by mi uwierzył. Wszyscy będą wątpić, uspokajać mnie kłamstwami, zasypywać ignorancją, oplakiwać mnie i ratować mojego zabójcę.

Gdzie jest David, zastanowiła się; czeka na zewnątrz, paląc jednego papierosa po drugim i wsłuchując się w rzadkie ryknięcia bardzo powolnego zegara?

Pot trysnął z całego jej ciała jednocześnie, a wraz z nim krzyk i cierpienie. Teraz. Teraz! Spróbuj mnie zabić, krzyczała. Spróbuj, spróbuj, ale ja nie umrę! Nie!

W jej wnętrzu była pustka. Późnia. Nagle nie czuła bólu. Zmęczenie. Ciemność. Po wszystkim, Było już po wszystkim. O Boże! Runęła w dół, w czarną nicość ustępującą miejsca nicości i kolejnej nicości i następnej i jeszcze jednej..

Kroki. Delikatne, zbliżające się kroki. Głosy ludzi starających się mówić cicho.

- Śpi - odezwał się daleki głos. - Proszę jej nie niepokoić.

Zapach tweedu, fajki, znajomego płynu po goleniu. Wiedziała, że stoi przy niej David. A obok nieskazitelny zapach doktora Jeffersa.



Nie otwierała oczu.

- Nie śpię - powiedziała cicho. To było zaskoczenie, ulga że mogła mówić, że nie była martwa.

- Alice - powiedział ktoś i wiedziała, że to David znajduje się za jej zamkniętymi powiekami, że to jego ręce ściskają jej zmęczoną dłoń.

Chciałbyś zobaczyć mordercę, Davidzie, pomyślała. Po to tu przyszedłeś, prawda?

David pochylał się nad nią. Otworzyła oczy. Spojrzała na pokój. Oslabłą dłonią odsunęła koldrę.

Morderca patrzył na Davida Leibera spokojnymi błękitnymi oczami w czerwonej twarzy. Oczami, które skrzyły się gdzieś w głębi.

- O rany! - zawołał wesoło David Leiber. - Jaki śliczny chłopak!

Dr Jeffers czekał na Leibera, gdy ten zjawił się w szpitalu, żeby zabrać do domu żonę i nowo narodzone dziecko. Wskazał mu fotel w swoim gabinecie, podał cygaro. Sam także zapalił, usiadł na krawędzi biurka i z ponurą miną wypuszczał dym. Potem odchrząknął, spojrzał _Davidowi prosto w oczy i oświadczył:

- Twoja żona nie lubi tego dziecka, Dave.

- Co!?

- To było dla niej ciężkie przeżycie, ten poród. Przez najbliższy rok będzie potrzebowała więcej uczucia. Nie mówiłem ci o tym ale na izbie porodowej wpadła w histerię. Mówiła dziwne rzeczy. No cóż, być może całą sprawę wyjaśnią dwa pytania - zaciągnął się cygarem. - Czy chcieliście tego dziecka, Dave?

- Tak. Planowaliśmy je. Razem. Alice była taka szczęśliwa, kiedy w zeszłym roku...

- Mmm... Więc to trudniejszy problem. Ponieważ gdybyście nie planowali tego dziecka, mógłby to być prosty przypadek matki, która nienawidzi samego macierzyństwa. Ale to nie pasuje do Alice. - Dr Jeffers wyjął cygaro z ust i potarł dłonią policzek. - A zatem to coś innego. Być może jakieś utajone wspomnienie z dzieciństwa, które teraz się ujawniło. Może po prostu chwilowe zwątpienie i nieufność matki, która przeżyła wielki ból i przecucie bliskiej śmierci. Jeśli tak, to czas powinien wkrótce wyleczyć te rany. Ale jeżeli sprawy nie wrócą do normy, to wpadnijcie do mnie we trójkę. Zawsze chętnie widzę starych przyjaciół, prawda? Proszę, weź sobie jeszcze cygaro dla... hm... dla dziecka.

Było jasne wiosenne popołudnie. Wóz sunął po szerokich, obramowanych drzewami alejach. Błękitne niebo, kwiaty, ciepły wiatr. David mówił bez przerwy, zapalił cygaro i mówił dalej. Alice odpowiadała krótko, cichym głosem, trochę uspokojona podróżą. Lecz nie przytulała dziecka na tyle mocno ani na tyle po matczynemu, by ukoić dziwny ból w duszy Davida. Mogło się zdawać, że trzyma porcelanową figurkę.

Spróbował serdeczności.

- Jak mu damy na imię? - zapytał.



Alice Leiber -spoglądała na migające za oknami drzewa.

- Nie decydujemy na razie - odparła. - Wolałabym poczekać, aż znajdziemy mu jakieś wyjątkowe imię. Nie dmuchaj na niego dymem. Jej zdania płynęły monotonnie, bez żadnej różnicy w tonie. Ostatnia uwaga nie zawierała niepokoju ani wyrzutu zatroskanej matki. Po prostu została wypowiedziana.

Zaniepokojony David wyrzucił cygaro przez okno.

- Przepraszam.

Dziecko leżało, w zgięciu matczynego ramienia, a cienie słońca i drzew raz po raz zmieniały jego twarz. Błękitne oczy otwierały się jak dwa świeże wiosenne kwiaty. Z jego ruchliwych, różowych warg dobiegały ciche mlaśnięcia.

Alice spojrzała na dziecko i David poczuł, że drży wsparta o jego ramię.

- Zimno? - zapytał.

- Chłodno. Lepiej podnieś szybę, Dave.

To było coś więcej niż chłód. Zamyślony zamknął okno.

Kolacja.

David Leiber przyniósł malca z dzieciennego pokoju i usadowił go w niezwyklej pozycji, wspartego o stos poduszek, w świeżo kupionym dzieciennym krzeselku.

Alice w skupieniu obserwowała ruchy swego noża i widelca.

- Jest jeszcze za mały na krzeselko - zauważyła,

- Ale to tak przyjemnie, jak tu siedzi - odparł radośnie Leiber. - Wszystko jest przyjemne. W biurze tak samo., Mam zamówień po same, uszy. Jeśli nie będę uważał, to zarobię w tym roku następne piętnaście tysięcy. Oj, popatrz na Juniora! Zapluł się cały!

Wyciągnął rękę, by wytrzeć dziecku brodę. Kątem oka zauważył, że Alice nawet nie spojrzała. Powoli odłożył serwetkę,

- Cóż, nie było to pewnie szczególnie ciekawe - stwierdził wróciwszy do swego talerza. Był lekko zirytowany i to tłumilo inne argumenty. - Ale można by oczekiwać, że matka zainteresuje się własnym dzieckiem.

Alice gwałtownie uniosła głowę.

- Nie mów tak. Nie przy nim. Później, jeśli już musisz.

- Później? - krzyknął. - Przy nim czy nie, co za różnica? - uspokoił się nagle, zastanowił, zrobiło mu się przykro. - Już dobrze. W porządku. Wiem, jak to jest.

Po kolacji pozwoliła mu zanieść dziecko na górę. Nie powiedziała, żeby zaniósł; pozwoliła mu.

Kiedy wrócił, stała obok radia. Słuchała muzyki, lecz nie słyszała jej. Miała zamknięte oczy, jak-by się zastanawiała, wsłuchiwała w siebie.

I nagle była przy nim, szybko i cicho; ta sama. Nic się nie zmieniło. Jej wargi odnalazły go, zatrzymały. Był oszołomiony. Nagle roześmiał się głośno. Teraz, kiedy dziecko było na górze poza tym pokojem, znowu



zaczęła oddychać, znów żyła. Była wolna. Szeptala do niego, pospiesznie, bez końca.

- Dziękuję, dziękuję, kochanie. Za to, że jesteś sobą. Zawsze. Niezawodny, tak bardzo niezawodny!

Musiał się roześmiać.

- Ojciec powiedział mi: "Synu, musisz dbać o swoją rodzinę".

Zmęczonym gestem złożyła na jego szyi swe ciemne, lśniąco włosy.

- Przedobrzyłeś. Czasami chciałabym, żeby znów było tak jak wtedy, kiedy się pobraliśmy. Żadnej odpowiedzialności nic prócz nas samych. Żadnych... żadnych dzieci.

Zbyt gwałtownie chwyciła go za rękę. Nienaturalnie skupiona twarz zapłonęła odmiennieścią.

- Pojawił się trzeci element. Przedtem byłeś tylko ty i ja. Chroniliśmy siebie nawzajem. Teraz chronimy dziecko, lecz od niego nie zyskujemy ochrony. Rozumiesz? Kiedy leżałam w szpitalu miałam czas na myślenie o różnych sprawach. Świat jest zły...

- Tak sądzisz? - przerwał.

- Tak. Ale bronią nas przed nim prawa. A tam, gdzie nie ma praw, chroni nas miłość. Moja miłość osłania cię przed krzywdą, jaką mogłabym ci wyrządzić. Jesteś podatny na moje ciosy, przede wszystkim na moje, lecz miłość to twoja tarcza. Nie czuję lęku przed tobą, gdyż miłość tłumi twoje irytacje, nienaturalne instynkty, nienawiści i niedojrzałe odruchy. Ale... ale co z dzieckiem? Jest za małe, by znać miłość albo prawa miłości, wiedzieć cokolwiek... póki go nie nauczemy. A do tego czasu jesteśmy wobec niego bezbronni.

- Bezbronni? Wobec dziecka? - odsunął ją od siebie i zaśmiał się cicho.

- Czy dziecko zna różnicę między złem i dobrem? - spytała.

- Nie. Ale nauczy się.

- Ale dziecko jest tak niedoświadczone, amoralne, pozbawione sumienia... - argumentowała. Potem przerwała nagle i wypuściła go z objęć. - Ten hałas! Co to było?

Leiber rozejrzał się.

- Nic nie słyszałem.

- To stamtąd - powiedziała powoli, wpatrzona w drzwi do biblioteki.

Leiber przeszedł przez pokój, otworzył drzwi, zapalił i zgasił światło.

- Nic nie ma - stwierdził wracając do żony. - Jesteś zmęczona. Marsz do łóżka, ale już!

Zgasili światło i w milczeniu ruszyli schodami w górę. Na piętrze zatrzymała się.

- Mówiłam głupstwa, skarbie. Wybacz. Jestem przemęczona. Rozumiał i powiedział jej to.

Na chwilę zatrzymała się z wahaniem przy drzwiach pokoju dziecinnego. Potem gwałtownie szarpnęła mosiężną klamkę i weszła do środka. Patrzył, jak podchodzi do łóżeczka - niezbyt ostrożnie; jak pochyla się i sztywnieje, jakby ktoś uderzył ją w twarz.



- David!

Leiber podszedł do łóżeczka.

Twarz dziecka była jaskrawo czerwona i silnie spocona. Małe różowe wargi poruszały się. Jasnoniebieskie oczy wyglądały, jakby ktoś wyciskał je na zewnątrz. Chłopczyk machał drobnymi czerwonymi rączkami.

- Och, płakał przed chwilą - stwierdził Leiber.

- Tak sądzisz? - Alice, osłabła nagle, chwyciła mocno poręcz łóżeczka. - Nic nie s ł y s z a ł a m. -

- Drzwi były zamknięte.

- Czy to dlatego tak ciężko oddycha i ma zaczerwienioną twarz?

- Oczywiście. Biedny maluch. Płakał, zupełnie sam po ciemku. Lepiej niech dzisiaj śpi w naszym pokoju. Może się znowu rozplakać.

- Rozpuszczasz go - stwierdziła.

Leiber wiedział, że Alice przygląda się mu, jak przetacza łóżeczko do ich sypialni. Rozebrał się bez słowa i usiadł na brzegu łóżka. Nagle uniósł głowę, zaklął pod nosem i pstryknął palcami.

-- Niech to diabli. Zapomniałem ci powiedzieć. W piątek muszę lecieć do Chicago.

- Och, Davidzie - wyglądała jak mała, zagubiona dziewczynka. - Tak szybko?

- Odkładałem ten wyjazd przez dwa miesiące i teraz sytuacja jest taka, że muszę lecieć.

- Boję się zostać sama.

- Do piątku będziemy ,mieli nową kucharkę. Będzie z tobą przez cały czas. W razie czego wystarczy zawołać. Wyjadę tylko na parę dni.

- Jednak się boję. Nie wiem czego. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. Chyba tracę rozum.

Leżał już. Zgasiła światło; słyszał, jak obchodzi łóżko dookoła, jak odsuwa kołdrę i wślizguje się do środka. Poczul obok siebie ciepły, kobiecy zapach.

- Jeżeli chcesz, żebym został jeszcze przez kilka dni, to może mógłbym...

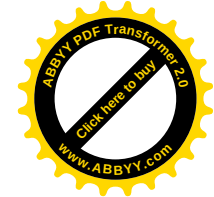
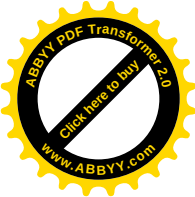
- Nie - odparła bez przekonania. - Jedź. Wiem, że to ważne. Ja po prostu cały czas myślę o tym, co ci mówiłam. Prawo, miłość i ochrona. Miłość chroni cię przede mną. Ale dziecko... - odetchnęła głęboko. - Co chroni cię przed nim, Davidzie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zanim zdążył ją zapewnić, jak niemądre są jej obawy, włączyła nocną lampkę.

- Popatrz - wskazała palcem.

Dziecko leżało całkiem rozbudzone w swoim łóżeczku i wpatrywało się w niego uważnie i badawczo swoimi błękitnymi, oczami. Światło zgasło. Czul, jak drży przytulona do niego.

- To niezbyt ładnie bać się czegoś, co urodziłam - ściszyła głos, mówiła gwałtownie, szorstko i szybko. - Ale on próbował mnie zabić! Leży



tam, słucha naszej rozmowy i czeka, aż wyjedziesz, żeby mógł znowu spróbować! Przysięgam!

Zaczęła szlochać.

- Proszę cię - powtarzał starając się jakoś ją uspokoić. - Przestań. Proszę.

Długo płakała w ciemności i uspokoiła się bardzo późno. Drżała jeszcze, lecz jej oddech stał się spokojny, ciepły, regularny. Drgnęła raz jeszcze i zasnęła.

On drzemał.

I na moment przed tym, jak zaciążyły mu powieki, nim zatonął w głębokiej fali snu, do-słyszał osobliwy cichy dźwięk czuwania i świadomości.

Głos małych, wilgotnych, różowo elastycznych warg.

Dziecko.

A potem - sen.

Rankiem świeciło słońce. Alice uśmiechała się.

David Leiber kołysał swoim zegarkiem nad łóżeczkiem.

- Patrz, maluchu. Coś błyszczącego. Coś ładnego. Tak, tak. Ślicznie błyszczący.

Alice uśmiechnęła się. Kazała mu ruszać, lecieć do Chicago, postara się być dzielną dziewczynką, nie ma się o co martwić.

Samolot odleciał na wschód z Leiberem na pokładzie. Było dużo nieba, dużo słońca, dużo chmur, a potem Chicago wyskoczyło zza horyzontu. Leiber wpadł w gorączkę zamówień, planowania, przyjęć, wizyt, telefonów, kłótni na konferencjach. W przerwach pośpiesznie przelykał kawę, ale codziennie pisał listy i wysyłał telegramy mówiące Alice i dziecku krótkie, miłe, proste słowa. Wieczorem szóstego dnia wezwano go do telefonu. Los Angeles.

- Alice?

- Nie, Dave. Tu Jeffers.

- Doktorze!

- Nie denerwuj się, synu. Alice zachorowała. Najlepiej wracaj pierwszym samolotem do domu. To zapalenie płuc. Zrobię, co będę mógł, chłopcze. Niedobrze, że to tak krótko po porodzie. Potrzebuje teraz dużo siły.

Leiber upuścił słuchawkę na widelki. Hotelowy pokój rozpływał się i rozpadał.

- Alice - powiedział nieprzytomnie i ruszył do drzwi.

Samolot leciał na zachód, pojawiła się Kalifornia i dla Leibera, już w domu, nagle zmaterializowała się leżąca w łóżku Alice. Dr Jeffers stał koło okna, a Leiber czuł swoje stopy, jak przesuwają się wolno, coraz bardziej i bardziej materialne, a kiedy stanął przy jej łóżku, wszystko znów było całe, trwałe, rzeczywiste.



Nikt się nie odzywał. Alice uśmiechała się blado. Jeffers zaczął coś mówić, lecz niewiele z tego docierało do Davida.

- Twoja żona jest zbyt dobrą matką, synu. Bardziej martwiła się o dziecko niż o siebie.

Policzek Alice drgnął, a potem...

Zacząła mówić. Nareszcie mówiła tak jak matka. Ale... czy naprawdę? Czy to nie cień gniewu, strachu, odrazy brzmiał w jej głosie?

- Mały nie chciał spać - mówiła Alice. - Myślałam, że jest chory. Leżał w swoim łóżeczku i patrzył. A późno w nocy płakał. Głośno. Całą noc, do rana. Nie mogłam go uspokoić. Nie mogłam spać.

- Była tak zmęczona, że wpadła w zapalenie płuc - pokiwał głową Jeffers. - Ale teraz jest na-pchana po uszy sulfonamidami, i nic jej nie-grozi.

Leiber poczuł, że słabnie.

- A dziecko? Co z chłopcem?

- Zdrowszy jak ryba.

- Dziękuję, doktorze.

Jeffers pożegnał się, cicho otworzył drzwi i odszedł. Leiber przysłuchiwał się jego krokom.

- David!

Obejrzał się słysząc jej szept.

- To znowu dziecko - powiedziała. - Próbowałam się przekonywać, jaka jestem głupia. Ale on wiedział, że jestem osłabiona po szpitalu. Więc krzyczał całymi nocami. A kiedy nie krzyczał, był zbyt spokojny. Gdy zapalałam światło, leżał i patrzył.

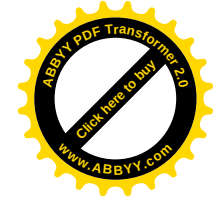
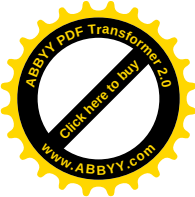
Leiber zadrżał. Pamiętał, że sam widział dziecko czuwające w ciemności. Czuwające późno w nocy, kiedy dzieci powinny spać. Odepchnął od siebie tę myśl. To było szaleństwo.

Alice mówiła dalej.

- Chciałam go zabić. Tak, chciałam. Godzinę po tym, jak wyjechałeś, poszłam do jego pokoju i chwyciłam go za szyję. Stałam tak bardzo długo i myślałam. Bałam się. Potem przykryłam mu twarz poduszką, odwróciłam na brzuszek, przycisnęłam i wybiegłam.

Próbował jej przerwać.

- Nie, pozwól mi skończyć - powiedziała szorstko, wpatrzona w ścianę. - Kiedy wyszłam z pokoju, pomyślałam: to takie proste. Dzieci codziennie' umierają od zaduszenia. Nikt się nigdy nie dowie. Ale kiedy wróciłam, żeby zobaczyć go martwego, on żył! Tak, Davidzie, żył; odwrócił się na plecy, żył, uśmiechał się i oddychał. Potem nie potrafiłam już go dotknąć. Może kucharka się nim zajmowała, nie wiem. Wiem tylko, że jego krzyk nie pozwalał mi zasnąć; zastanawiałam się po całych nocach, chodziłam po pokojach, a teraz jestem chora - kończyła już. - To dziecko leży tam teraz, i obmyśla sposób zabicia mnie.



To było wszystko, na co wystarczyło jej sił. Zamknęła oczy i po chwili już spała. David Liber stał nad nią jeszcze przez długi czas. Mózg zastygł w jego głowie. Nie drgnęła nawet jedna komórka.

Następnego ranka mógł zrobić tylko jedno. Wkroczył do biura doktora Jeffersa, opowiedział mu wszystko i słuchał pełnych wyrozumiałości tłumaczeń lekarza.

- Rozważmy wszystko spokojnie, synu. To całkiem naturalne, że czasem matki nienawidzą swoich dzieci. Jest na to specjalny termin: ambiwalencja. Zdolność do nienawidzenia kogoś, kogo się kocha. Kochankowie często czują do siebie nienawiść, podobnie jak dzieci do matek.

- Ja nie nienawidziłem swojej matki - przerwał Leiber.

- Nie przyznasz się do tego, to oczywiste. Ludzie nie chcą przyznawać się do nienawiści do swoich najbliższych.

- A więc, Alice nienawidzi swojego dziecka.

- Najlepiej ująć to tak: ma obsesję. Poszła o krok dalej niż zwykła, normalna ambiwalencja. Wini dziecko za ciężki poród i za chorobę. Dokonuje projekcji swoich problemów przerzucając odpowiedzialność na pierwszy z brzegu obiekt, którego może użyć. Wszyscy to robimy. Potykamy się o krzesło i kniemy na meble, nie na własną niegrabność. Nie trafiamy w piłkę golfową i obwiniamy murawę albo kij. Mogę ci tylko powtórzyć to, co już raz mówiłem. Poszukaj sposobów okazania jej swojego uczucia. Postaraj się udowodnić, jak nieszkodliwe i niewinne jest dziecko. Po jakimś czasie Alice uspokoi się i pokocha je. Jeśli nie przyjdzie do siebie w ciągu mniej więcej miesiąca, to wpadnij. Polecę ci jakiegoś dobrego psychiatrę. A teraz leć już i przestań być taki ponury.

Nadeszło lato i sprawy stały się łatwiejsze i bardziej normalne. Leiber nigdy nie zapominał być opiekuńczym wobec żony. Ona z kolei chodziła na długie spacery i wracała do sił. Rzadko zdarzały się jej wybuchy emocji.

Aż pewnego razu o północy, kiedy nagły letni wiatr szalał wokół domu wstrząsając drzewami niby lśniącymi tamburynami, Alice obudziła się drżąc i wsunęła w ramiona męża,

- Coś jest w pokoju - powiedziała. - Patrzy na nas. Zapalił światło.

- Przyśniło ci się - stwierdził. - Ale i tak jest coraz lepiej. Już dawno się nie bałaś.

Westchnęła, a on zgasił lampkę. Wciąż trzymał ją w ramionach myśląc, jakim jest niezwykłym i słodkim stworzeniem.

Aż usłyszał, że drzwi sypialni otwierają się na kilkanaście centymetrów.

Nikogo przy nich nie było. Otworzyły się bez powodu. Wiatr ucichł. Czekał. Zdawało mu się, że leży tak w ciemności przez godzinę.



Potem, jakby z jękiem małego meteoru ginącego w olbrzymiej, atramentowoczarnej otchłani kosmosu, w pokoju dzieciennym zapłakało dziecko.

To był delikatny, samotny dźwięk, gdzieś pomiędzy ciemnością, oddechem kobiety w jego ramionach i wiatrem, znów zaczynającym poruszać koronami drzew.

Leiber policzył do pięćdziesięciu. Płacz trwał nadal.

Wreszcie, ostrożnie wysunąwszy się z objęć Alice, wstał z łóżka, włożył pantofle i na palcach wyszedł z pokoju.

Zejdzie na dół, myślał zmęczony, podgrzeje trochę mleka i...

Ciemność usunęła się spod niego. Jego stopa ześliznęła się i odskoczyła. Odskoczyła w pustkę...

Wyciągnął przed siebie ręce i rozpaczliwie uchwycił się poręczy. Jego ciało przestało padać. Zaklął.

Potknął się o coś miękkiego. To coś zaszurało, spadło o kilka stopni w dół i zatrzymało się. W uszach mu dzwoniło, serce tłukło się gdzieś pod krtanią, dusząco i boleśnie.

Dlaczego ludzie zostawiają różne rzeczy porozrzucane po całym domu? Macał ręką w poszukiwaniu przedmiotu, przez który nieomal zleciał na głowę ze schodów.

Jego ręka zamarła w zaskoczeniu. Głośno wciągnął powietrze.

To co trzymał, było zabawką. Dużą, niezgrabną szmacianą lalą, którą kupił dla...

Dla d z i e c k a.

Następnego dnia Alice odwiozła go do pracy.

W połowie drogi zwolniła, zjechała na krawężnik i zatrzymała się. Potem spojrzała na męża.

- Chcę pojechać na wakacje. Nie wiem, czy dasz teraz radę, kochanie, ale jeśli nie, to proszę, pozwól mi jechać samej. Na pewno znajdziemy kogoś, kto zajmie się dzieckiem. Po prostu muszę wyjechać. Myślałam, że wyrastam z tego... tego uczucia. Ale nie. Nie mogę wytrzymać z nim w jednym pokoju. A on patrzy na mnie, jakby też mnie nienawidził. Muszę wyjechać, zanim coś się stanie.

Wysiadł, obszedł samochód dookoła, kiwnął ręką, by się przesiadła, i otworzył drzwi.

- Najlepiej będzie, jak zobaczysz się z dobrym psychiatrą. Jeżeli on zaleci wakacje, dobrze. Ale to nie może tak dłużej trwać. Żołądek skręca mi się od tego. - Siadł za kierownicą i włączył silnik. - Ja poprowadzę.

Opuściła głowę; z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Spojrzała na niego, kiedy hamował koło biura.

- Dobrze. Zamów mi wizytę. Porozmawiam, z kim tylko będziesz chciał, Davidzie.



Stał na krawężniku i patrzył, jak odjeżdża, a wiatr rozwiewał jej długie, lśniące włosy. W chwilę później zadzwonił z biura do Jeffersa i załatwił wizytę u godnego zaufania psychiatry. To było to.

Praca nie szła mu zbyt dobrze. Wszystkie sprawy plątały się i przez cały czas widział Alice we wszystkim, na co popatrzył. Tak wiele swoich lęków zdołała mu przekazać. Właściwie przekonała go, że dziecko jest jakieś nienaturalne. Pod koniec dnia odczuwał już tylko zmęczenie, pulsujący ból głowy i przemożne pragnienie powrotu do domu.

Co by się stało, gdybym powiedział Alice o tej lalce, o którą potknąłem się na schodach, zastanawiał się w windzie. Boże, to doprowadziłoby ją do hysterii. Nie, nigdy jej nie powiem. W końcu to tylko przypadek. Był jeszcze jasny dzień, gdy wracał taksówką. Przed swoim domem w Brentwood zapłacił kierowcy i wolno ruszył betonowym chodnikiem ciesząc się wciąż padającym z nieba światłem dnia. Biała kolonialna fasada domu robiła wrażenie dziwnie cichej i opuszczonej. Przypomniawszy sobie, że to czwartek, kucharka ma wychodne i Alice musiała upichcić coś sama albo zjeść gdzieś na mieście.

Odetchnął głęboko. Słyszał samochody jadące aleją, dwie przecznice dalej. Przekręcił klucz w zamku.

Wszedł, odłożył kapelusz i neseser na krzesło, zaczął zdejmować płaszcz i rozejrzał się.

Gasnące światło dnia spływało po klatce schodowej z okna w dachu. Tam gdzie padało, nabierało jaskrawych barw szmacianej lalki leżącej w dziwacznej pozycji u stóp schodów.

Nie zwracał jednak uwagi na szmacianą lalkę.

Mógł tylko patrzeć, nie ruszać się i znów patrzeć na Alice. Leżała blada, z rękami wyciągniętymi w groteskowym, przerwany geście. Leżała u stóp schodów.

Nie żyła.

W domu słychać było jedynie uderzenia jego serca.

Alice nie żyła.

Uniósł jej głowę, dotknął palców. Podniósł ciało. Ale ona nie żyła. Wypowiedział jej imię, głośno, wiele razy, i znowu próbował tuląc ją do siebie oddać jej trochę ciepła, które utraciła. Nie pomagało.

Wstał. Musiał gdzieś dzwonić; nie pamiętał. Nagle był na górze. Otworzył drzwi pokoju dzieciennego, wszedł do środka i pustym wzrokiem popatrzył na łóżeczko. Coś gniotło go w żołądku. Widział niezbyt wyraźnie.

Dziecko miało zamknięte oczy, lecz jego twarz była czerwona i mokra od potu, jakby płakało długo i głośno.

- Ona nie żyje - powiedział Leiber do dziecka. - Nie żyje. Zaczął się śmiać. Ciągle jeszcze się śmiał, gdy wszedł doktor Jeffers i mocno uderzył go w twarz.

- Przestań! Weź się w garść, synu.



- Spadła ze schodów, doktorze. Potknęła się o szmacianą lalkę i spadła. Ja sam potknąłem się o nią poprzedniej nocy. A teraz... Lekarz chwycił go za ramiona i potrząsnął.

- Doktorze, doktorze - powiedział niezbyt przytomnie Leiber. - To zabawne. Zabawne. Wymyśliłem wreszcie imię dla dziecka. Jeffers nie odpowiedział.

Leiber podparł głowę drżącymi dłońmi i oświadczył:

- Mam zamiar ochrzcić go w przyszłą niedzielę. Wie pan, jak mu dam na imię? Będę... będę go nazywał... Lucyfer!

Była jedenasta w nocy. Przez dom przewinęło się mnóstwo dziwnych ludzi, którzy zabrali ze sobą najważniejsze: Alice.

David Leiber usiadł w bibliotece naprzeciwko doktora.

- Alice nie była szalona - powiedział wolno. - Miała powody, żeby bać się dziecka. Jeffers westchnął.

- Teraz sam wpadasz w ten wzorzec. Ona obwiniła dziecko o swoją chorobę, a teraz ty obwiniasz je o jej śmierć. Alice potknęła się o zabawkę, pamiętaj. Nie możesz mieć pretensji do dziecka.

- Do Lucyfera?

- Przestań nazywać go Lucyferem! Leiber pokręcił głową.

- Alice słyszała jakieś hałasy w nocy. Jakby ktoś nas szpiegował. Chcesz wiedzieć co to było? Powiem ci. To było dziecko! Tak, m ó j syn! Czteromiesięczny, pełzający nocą ciemnym korytarzem, słuchający naszych rozmów. Słyszający każde słowo! - Złapał za poręcz fotela. - A kiedy zapalałem światło... Dziecko jest małe. Może się doskonale schować za jakiś mebel, za drzwi, pod ścianą, poniżej poziomu wzroku.

- Przestań! - zażądał Jeffers.

- Pozwól mi powiedzieć, co myślę, bo zwariuję. Kiedy wyjechałem do Chicago, kto nie po-zwalał Alice zasnąć, zmęczył ją i osłabił tak, że dostała zapalenia płuc? Dziecko! A kiedy nie umarła, próbował zabić mnie. To było proste: zostawić lalkę na schodach, a potem krzyczeć tak długo, aż ojciec mając dość tego płaczu wstanie, żeby zejść na dół i podgrzać mleko, i potknie się; Prymitywna sztuczka, ale skuteczna., Mnie się udało. Lecz Alice nie żyje. David Leiber przerwał na chwilę, na tyle długą, by zapalić papierosa.

- Powinienem się zorientować. Zapalałem światło w środku nocy, wiele razy, a on leżał z otwartymi oczami. Większość dzieci śpi prawie cały czas, bez przerwy. Ale nie t o. To czuwa i... myśli.

- Niemowlęta nie myślą - przerwał Jeffers.

- Więc czuwa i robi to, co może zrobić ze swoim mózgiem. Do diabła, co właściwie wiemy o mózgu niemowlaka? Miał powody, żeby nienawidzić Alice; podejrzewała, że jest tym, czym jest - na pewno nie zwyczajnym człowiekiem.

Leiber pochylił się w stronę doktora.



- To wszystko się wiąże. Przypuśćmy, że kilkoro dzieci z tych wszystkich milionów rodzi się takich, że natychmiast potrafią poruszać się, widzieć, słyszeć, myśleć. Wiele owadów jest samowystarczalnych od momentu narodzin. W ciągu kilku dni przystosowuje się większość ssaków i ptaków. Małym ludziom potrzeba lat, zanim nauczą się mówić i poruszać na niepewnych nogach. Ale przypuśćmy, że jedno dziecko na milion jest... dziwne. Urodzone z pełnią świadomości, instynktownie zdolne do myślenia. Czy nie byłby to doskonały kamuflaż, znakomite maskowanie tego, co chciałoby zrobić? Mogłoby udawać zwykłego, słabego, płaczącego, nie widzącego malucha. Zużywając tylko trochę energii potrafiłoby raczkować po ciemnym domu i słuchać. I jak łatwo by mu było podkładać pułapki na schodach. Jak łatwo płakać po całych nocach, żeby zamęczyć matkę. Jak łatwo, podczas porodu, być tak blisko niej, że kilka zręcznych działań spowoduje zapalenie otrzewnej!

- Na miłość boską! - Jeffers zerwał się na nogi. - To co mówisz, jest odrażające!

- To, o c z y m mówię, jest odrażające. Ile matek zmarło przy porodzie? Ile wykarmiło niezwykle małe niesamowitości, w ten czy inny sposób przynoszące śmierć? Dziwne, czerwone stworzonka z mózgami, które działają w szkarłatnej ciemności, jakiej nie możemy się nawet domyślać? Pierwotne małe mózgi, przepełnione pamięcią gatunku, nienawiścią i okrucieństwem. Pytam cię, doktorze, co jest na świecie bardziej samolubnego niż dziecko? Nic! Nie istnieje nic tak egoistycznego, aspołecznego, samolubnego - nic!

Jeffers zmarszczył brwi i bezradnie pokręcił głową.

Leiber odłożył papierosa.

- Nie przypisuję dziecku dużej siły. Tyle tylko, by słuchać przez cały czas. By płakać po nocach. To dosyć; nawet więcej niż dosyć.

Jeffers spróbował żartu.

- Więc to morderstwo. A morderstwo musi mieć motyw. Wymyśl jakiś motyw dla dziecka. Leiber miał już gotową odpowiedź.

- Czy jest coś bardziej spokojnego, bardziej sennie szczęśliwego, zadowolonego, wypoczętego, nakarmionego, zaspokojonego, nie znającego kłopotów niż nienarodzone dziecko? Nie. Unosi się w sennym mrocznym wirze beczasowego cudu, ciepłego pożywienia i ciszy. Senne marzenie spowija jego świat. I nagle jest skłaniane do opuszczenia legowiska, zmuszane do wyjścia, wypychane w hałaśliwy, nieczuły, egoistyczny, nerwowy i bezlitosny świat, gdzie musi polować i żywić się tym, co upoluje, poszukiwać ginącej miłości, która była kiedyś jego niezaprzeczanym prawem, spotykać zamieszanie zamiast wewnętrznej ciszy i zachowawczej drzemki. I noworodek odrzuca to. Odrzuca wszystkimi miękkimi, delikatnymi włóknami swego maleńkiego ciała. Nienawidzi ostrego, zimnego powietrza, ogromnych przestrzeni, nagłego odejścia znanych rzeczy. A kto odpowiada za to rozczarowanie, to okrutne zdjęcia zaklęcia? Matka. I



tak dziecko ma kogoś, kogo może nienawidzić i nienawidzi całą mocą swego małego umysłu. Matka odepchnęła go, odrzuciła. A ojciec nie jest lepszy. Jego też zabić! Na swój sposób też jest winien!

- Gdyby to, co mówisz, miało być prawdą - przerwał mu Jeffers - to każda kobieta na świecie mu-siałaby patrzeć na swoje nowo narodzone dziecko jak na coś przerażającego, coś przyprawiającego o dreszcze.

- A dlaczego nie? Czy dziecko nie ma doskonałego alibi? Chronią go tysiące lat uznanych wierzeń medycznych. Ze wszystkich obserwacji wynika, że jest bezradne, za nic nie odpowiada. Dziecko rodzi się nienawidząc. I z biegiem czasu sprawy pogarszają się zamiast polepszać. Niemowlęciu poświęca się z początku sporo uwagi i troski. Ale czas mija i to się zmienia. Zaraz po urodzeniu dziecko dysponuje wielką siłą. Siłą zmuszającą rodziców do robienia różnych głupstw, kiedy się rozplacze albo zakaszle, do podskakiwania, kiedy krzyknie. Ale w miarę jak mijają miesiące, dziecko czuje, że nawet ta siła wymyka mu się szybko, na zawsze, by nigdy już nie powrócić. Dlaczego nie ma się starać jej utrzymać? Dlaczego nie ma walczyć o pozycję wtedy, kiedy przemawiają za tym wszystkie okoliczności? W przyszłych latach będzie za późno, by wyrazić swoją nienawiść. Trzeba uderzyć teraz. Głos Leibera był bardzo cichy, bardzo miękki.

- Mój mały chłopczyk, leżący nocą w swoim łóżeczku, ze spoconą, czerwoną twarzą, nie mogący złapać tchu. Od płaczu? Nie. Od upartego, boleśnie powolnego wychodzenia z łóżeczka, od czołgania się po długich, ciemnych korytarzach. Mój mały synek. Chcę go zabić. Jeffers podał mu szklankę wody i kilka tabletek.

- Nikogo nie będziesz zabijał. Prześpisz się dwadzieścia cztery godziny, to może zmienisz zdanie. Zażyj to.

Leiber popił tabletki i pozwolił zaprowadzić się na górę do sypialni. Płakał, kiedy doktor układał go w łóżku.

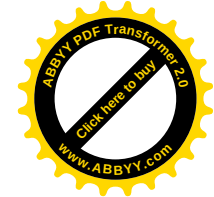
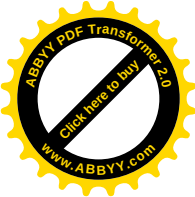
Następnego ranka Jeffers podjechał pod dom Leibera. To był ładny ranek i doktor przybył tu, by zalecić pacjentowi odpoczynek na wsi. Tamten pewnie będzie jeszcze spał. Dostał dość środków nasennych, żeby nie obudzić się przez co najmniej piętnaście godzin.

Jeffers przycisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Służąca jeszcze nie wróciła, za wcześniej. Popchnął frontowe drzwi, stwierdził, że są otwarte, i wszedł do środka. Odłożył walizkę na najbliższe krzesło. Coś białego usunęło się z pola widzenia - coś jakby wrażenie ruchu na szczycie schodów. Jeffers nie zwrócił na to uwagi.

W domu śmierdziało gazem.

Jeffers pognął na górę i wpadł do sypialni Leibera.

Mężczyzna leżał nieruchomo na łóżku, a w pokoju aż gęsto było od gazu uciekającego z sykiem z otwartego palnika pod ścianą koło drzwi. Jeffers zakręcił go, poodsuwał wszystkie okna i biegiem wrócił do ciała.



Było zimne. Leiber nie żył od kilku godzin.

Kaszłąc gwałtownie, z załzawionymi oczami doktor wybiegł z pokoju. Leiber nie odkręcił gazu sam. Nie mógł. Te proszki go powaliły, nie obudziłby się do południa. To nie było samobójstwo. A może jednak, może istniała choć minimalna możliwość?

Przez pięć minut Jeffers stał nieruchomo w hallu. Potem podszedł do drzwi pokoju dziecinnego. Otworzył je, wszedł do środka i pochylił się nad łóżeczkiem.

Było puste.

Przez pół minuty stał przy nim kołysząc się lekko, po czym powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

- Te drzwi się zatrzasnęły. Nie mogłeś wrócić do łóżeczka, gdzie byłbyś bezpieczny. Nie uwzględniłeś zatrzaśnięcia drzwi. Taki drobiazg jak drzwi może zniszczyć najlepszy nawet plan. Znajdę cię gdzieś w domu. Będziesz się krył udając, że jesteś czymś innym, niż jesteś.

Był oszołomiony. Położył dłoń na czole i uśmiechnął się blado.

- Zaczynam mówić jak Alice i David. Ale nie mogę ryzykować. Niczego nie jestem pewien, ale nie mogę ryzykować.

Zszedł na dół, otworzył swoją lekarską walizeczkę, wyjął z niej coś i ukrył w dłoniach.

Coś zaszeleściło w głębi hallu. Coś bardzo małego i bardzo cichego. Jeffers odwrócił się gwałtownie i zrobił kilka pewnych, szybkich kroków przed siebie.

- Musiałem operować, by sprowadzić cię na świat. A teraz mogę chyba operować, by...

Ray Bradbury